



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakeyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

### Stuletnia rocznica rozpowszechnienia ziemniaków.

meryka dostarczyła nam wielu cennych płodów. Ziemniaki czyli kartofle są dziś tak pospolite wszędzie, jak chleb powszedni, spotykamy je na stołach najwykwintniejszych i najskromniejszych, trudno więc nawet uwierzyć, że przed stu laty jeszcze prawie nieznano ich w Europie. Dowiedziono wprawdzie, że ziemniaki w XVI wieku były już sprowadzone z ojczyzny swojej do Hiszpanii,

lecz hodowano je tam tylko ja-

ko osobliwość, dużo czasu upłynęło, zanim ludzie się przekonali, jaki to pożywny i smaczny pokarm.

W drugiej połowie XVIII wieku Francuz Parmentier zajął się z wielką gorliwością hodowaniem ziemniaków. Parmentier był ubogim aptekarzem wojskowym, człowiekiem wielkiej zacności, przez całe życie myślał i pracował nad sposobami zapewnienia ubogiej klasie ludności zdrowego i posilniejszego pokarmu. Zwracając ciągle uwagę na nędzne pożywienie wojska, podawał władzy rozmaite wskazówki, dotyczące się mielenia maki, wypiekania chleba i sucharów, wpłynął też na znaczne ulepszenie tych produktów.

Odbył on z wojskiem francuzkiem kilka kampanij, dostał się do niewoli pruskiej, gdzie wiele wycierpiał, po przywróceniu pokoju mógł wreszcie odpocząć, otrzymawszy stałe miejsce aptekarza przy szpitalu Inwalidów w Paryżu.

Wówczas to, mając więcej czasu i swobody, założył ogród pod miastem i zaczął w nim hodować ziemniaki. Nie była to wcale zabawka, Parmentier, przypatrzwszy się zblizka tej roślinie, poznał się na niej od razu, a ponieważ wszelkie usiłowania jego dążyły zawsze do jednego celu, postanowił wszelkich starań dołożyć, aby hodowlę ziemniaków pomiędzy uboższą ludnością rozpowszechnić. Dowodził on bardzo słusznie, że w czasie nieurodzaju zboża pokarm ten stanie się dobrodziejstwem prawdziwem, gdyż będzie mógł chleb zastąpić. Dziś wiemy, że się nie mylił, lecz wówczas zacny człowiek, zamiast wdzięczności, napotkał tylko niechęć tych, których dobro jedynie miał na widoku. Pospólstwo zawsze się obawia wszelkich nowości, a gdy raz uprzedzenie do czegoś poweźmie, trudno bardzo przekonać się daje. Przypisywano ziemniakom własności trujące, a ludność okoliczna, którą Parmentier nakłaniał do hodowania tej rośliny i częstował na próbę ziemniakami z własnego ogrodu, zaczęła go podejrzewać o niegodziwe zamiary.

Przyszło do tego, że napadano w nocy na jego grządki i wyrwano nienawistną roślinę, uważaną za truciznę. Panujący wówczas we Francji król Ludwik XVI, ten sam, któ-



ry później podczas rewolucji śmierć męczeńską poniósł na rusztowaniu, dowiedział się o znacznych usiłowaniach Parmentier'a i o prześladowaniu, jakie ponosił. Król wziął tę sprawę do serca, zwiedził osobiście ogród, gdzie nowa roślina była uprawiana, rycina nasza przedstawia właśnie te odwiedziny. Parmentier ofiarował monarsze kwiat ziemniaków, a ten włożył go w dziurkę od guzika i tak ukazał się na uroczystym przyjęciu dworskim, chcąc tym sposobem objawić publicznie, że bierze w opiekę prześladowaną roślinę.

Parmentier zaproszony był potem na obiad do królewskiego stołu, a kuchmistrz dworski miał polecenie podać pomiędzy innymi potrawami i ziemniaki, których król i królowa skosztować raczyli. Niewielkie to jednak wrażenie wywarło na pospólstwo, niszczone tak zawzięcie ogród Parmentier'a, że król musiał mu dać do obrony pułk żołnierzy. Nie byłoby i to zapewne przełamało upor i nierozsądku gminu, gdyby się nie przyczyniły do tego smutne okoliczności. Nastąpił we Francji lata strasznego głodu, nieszczęśliwi ludzie, przyciśnięci potrzebą, nie mogli przebierać w żywności i Parmentier z lepszym skutkiem począł rozdawać zgłodniałym wyhodowane przez siebie ziemniaki. Wtenczas dopiero przekonano się, że miał słuszość, i że mączyste te bulwy mogą rzeczywiście w niedostatku chleba zastąpić go i uchronić od śmierci głodowej. Uprzedzenia znikły, zaczęto wszędzie we Francji uprawiać ziemniaki, które też wkrótce rozpowszechniły się w całej Europie.

Parmentier urodził się w mieście Montdidier, tam też w roku bieżącym wystawiono mu pomnik, na który zasłużył niezawodnie, wielką bowiem przysługę wyświadczył ludzkości, obdarzając ją takim posilnym pokarmem. Dziwna to jest rzecz, że tytoń, jednocześnie prawie z ziemniakami do Europy sprowadzony także z Ameryki, daleko prędzej się rozpowszechnił, chociaż każdy przyzna zapewne, że niewiele przyniósł pożytku.

Obie te rośliny, tytoń i ziemniaki, są zresztą i z innych względów zbliżone do siebie, należą do tejże samej rodziny psiankowatych, która wcale nieszczególniej sławy używa, gdyż mieści w sobie najzjadliwsze trucizny. Można by nawet powiedzieć, że ziemniaki, podejrzywane przez pospólstwo francuzkie o własności trujące, pokutowały po troszę za grzechy swojej rodziny. Najpierw i ten tytoń, który jest w tak powszechnym użyciu, zawiera w sobie pierwiastek, zwany nikotyną, truciznę nadzwyczaj gwałtowną. Potem wilcza jagoda czyli belladonna, mandragora, lulek, bielun czyli denderewa, są to wszystko rośliny jadowite; nawet i psianki o czarnych i czerwonych jagódkach, pospolite po naszych łąkach, w okolicach mieszkań, choć nie są tak silnymi truciznami, jednak szkodliwe mają własności i bydlę ich unika.

Ziemniaki są niezawodnie perłą tej rodziny, a pomimo wszystkich swych przymiotów, i one nie są bez skazy, w jagódkach ich nasiennych i liściach mieści się także trujący pierwiastek, solaninę zwany; rozwija się on po trochę i w bulwach, póki są bardzo młode, dlatego też młode kartofelki, jakkolwiek smaczne, ostrożnie jadać trzeba, bo mogą zaszkodzić. Drugą rośliną, przynoszącą zaszczyt rodzinie psiankowatych, jest smaczny pomidor.

Nie tylko ubiór zmienia się z biegiem czasu w skutek zwyczaju i mody, w pokarmach ludzkich także zachodzą tak znaczne zmiany, że niejedna potrawa, którą praojcowie nasi się żywili, dla nas dziś jest zupełnie nieznaną. Tak naprzy-

kład z wprowadzeniem ziemniaków znikło zupełnie ze stołów naszych inne warzywo, dawniej niezmiernie pospolite i prawie tak samo przyrządzane, jako przyprawa do mięsa lub jarzyna postna. Któż dziś wspomina o kucmerce? Nikt zapewne z pomiędzy czytelników naszych nigdy jej nie kosztował, a wielu może i nazwy tej nie zna wcale. Jednakże przed stu laty kucmerka, tak zupełnie, jak obecnie ziemniaki, jadana była na najwykwintniejszych i najuboższych stołach, uprawiana wszędzie po ogrodach, stanowiła jeden z najpospolitszych, nieodbitych produktów jadalnych.

Pan Rostafiński, profesor botaniki w Krakowie, zwrócił uwagę na tę roślinę dziś zapomnianą i opisał ją dokładnie, zebrawszy tyczące się jej ciekawe szczegóły historyczne. Kucmerka należy do rodziny baldaszkowych, podobna jest zatem do marchwi, pietruszki, pasternaku, ma drobne kwiatki białe i korzonki rozgałęzione, które wyglądają, jakby pęczek małych marchewek, rozłożonych dokoła w kształcie wianka. Korzonki te, białe, mięsiste, są właśnie jadalną częścią rośliny. W Syberii i północnej Persyi, a także i w południowej Rosyi, znajdowano ją w stanie dzikim, przez hodowanie, jak zwykle, korzonki stają się znacznie grubsze i większe.

Do naszego kraju kucmerka dostała się z Niemiec, gdzie już w XII wieku była znana, nazwa jej także pochodzi z niemieckiego. Tam wprawdzie w czasach późniejszych zwaną ją *zuckerwurtzel*, to jest korzonek cukrowy, ale p. Rostafiński odszukał dawniejszą nazwę *kritzelmore*, która się zbliża do polskiej, tém bardziej, że i u nas dawniej zwano ją odmiennie trochę *kuczmorką*. Tak na przykład w obrachunkach wydatków na kuchnię króla Jagiełły w r. 1394 zapisano pewną kwotę pieniężną, zapłaconą w pierwszą niedzielę postu za kuczmorkę i dwie króbkki, w których też kuczmorka miała być przewieziona do Wielkopolski, gdzie król z dworem wyjeżdżał. Oczywiście więc król Jagiełło lubił tę jarzynę, skoro ją w króbkkach z sobą woził, prawdopodobnie też nie był jeszcze rozpowszechnioną w całym kraju, bo pocóżby takie zapasy kupowano odrazu, gdyby i w Wielkopolsce rośli po ogrodach.

W książce wydanej w XVII wieku jest opis obazerny, jakim sposobem przyrządzano kucmerkę, ztąd dowiadujemy się, że ją warzono z ryżem i rodzynkami, smażyło w maśle lub oliwie, czasem też przysmażano w cieście i dodawano mięsa. Najczęściej jednak była używana jako potrawa postna.

## NA JESIENI.

O! jesieni złota nasza!  
Tyś jak darów Boża czasza,  
Dziwnie mądra, pełna cześci,  
I kojącej pełna treści.

\* \* \*

W pożegnanie grają lasy,  
Barw tysiącem, pełnych krasy;  
Wiosną łąki tu się tęczą,  
Starodrzewne lasy wieńczą,  
Miedzią, złotem i rubinem,  
I szmaragdem, i bursztynem.  
Na jesieni świat się mieni



I w dobrane gra kolory,  
Pajęczyny srebrzem dziany,  
Jak kobierzec różnowzory,  
Na dzień wielki rozesłany.

\* \* \*

Mgła poranna, co nierada  
Wdzięk odsłonić naraz oku,  
To się wznosi, to opada,  
I uroczy świat w tym mroku,  
Co się dzieli na obrazy  
W płataninie tęczy i gazy.  
Jak czarowna niiby wstęga,  
Co tę ziemię z niebem sprzęga,  
Z srebrnej gazy, z tęczy wátku,  
I bez końca, bez początku,  
Płynie, sunie i przegania,  
I otula, i odsłania  
Wdzięki, ledwo sercu znane,  
A tak pięknie zasromane.

\* \* \*

Aż gdy cicho złote słońce  
Z dobrą wieścią wysła gońce,  
Mgła uchodzi wielkim zwojem  
I po czarach łyży się żalą.  
Za wzgórkami gdzieś niebios  
Jarzębatą płyną falą;  
W blasku słońca perli rosa,  
A świat strojny wielkim strojem,  
Jak matrona się uśmiecha,  
I w milczeniu znów oddycha,  
I powaga, i pokójem.

\* \* \*

Złote słońce i ściern złota,  
Nigdzie głosu, nikt nie śpiewa,  
A po duszy się rozlewa  
Jakiś smutek, czy tęsknota.

\* \* \*

Odleciały już bociany,  
Polskiej strzechy gospodarze;  
Już i żóraw rzuca strażę,  
W klucz powietrzny zawiązany.  
I już tylko od jeziora  
Słychać jeszcze wrzask kaczora,  
Lub szum długi, gdy gromada  
Już wędrownych gęsi spada.

\* \* \*

Jesień polska, to matrona,  
Przysporzyła i oddaje,  
A co wyszło z serca, z łona,  
Ukojone, całe staje.  
A ta srebrna pół tkanina,  
Ta jesienna pajęczyna,  
Owo rąbek wielkiej pani,  
Który ziemia niesie w dani.

\* \* \*

Cicho, chłodno, jakoś smętno,  
Czule, rzewnie i pamiętno,  
Bo wianuszki dawno zwite,  
Wielkie prace odprawione,  
Wielkie burze już przebyte,  
Wielkie bóle ukojone.  
A więc słońce złotem ciska,  
A złociste łanów ściernie  
Srebrną gazą się połyska,  
I przyświadcza temu wiernie,

W wielkiej ciszy, w wielkiej wierze,  
Niebo, ziemia, człek i zwierzę.  
Dziwnie mądra pora roku,  
Zdrowa duszy, czuła oku;  
Gdy liść zwiedły się przegania,  
Ziemia zda się wówczas marzy  
Wielkie prace, wielkie stróże,  
Wielkie dzieje, wielkie burze,  
I żywotem swoim waży  
Wielkie myśli zmartwychwstania!

Wincenty Pol,

## ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....

(Dalszy ciąg).

### XII.

#### Rycerz wiatowany.

Roku 1412 w czasie zjazdu w Budzie, dla uświetnienia go i zabawy gości, naznaczył król Zygmunt Węgierski na dzień drugi po Bożem Ciele świetne turnieje na cześć króla polskiego Władysława Jagielly, gościa swego. Było też gości innych dostojnych i znakomitych dosyć: Ernest i Albert austriacy, Ludwik z Brzega, Konrad książę Oleśnicki, książęta Szląscy inni, Ban bośniacki, posłowie hana Saladyna i t. d. Dość powiedzieć, że było wtedy w Węgierskiej stolicy trzech monarchów panujących, jeden despota serbski, trzynastu książąt, dwudziestu i jeden hrabiów, nie licząc w to panów węgierskich, 1,500 prawdziwych rycerzy, 3,000 pacholków, jeden kardynał, jeden legat, trzech arcybiskupów, jedenastu biskupów, siedmnastu heroldów, razem 40,000 koni. Siedmnaście narodowości, czyli krajów i języków, miały tam swoich przedstawicieli. Spółczesny opis powiada, że było tam prócz tego mnóstwo ludzi pokolenia Abrahamowego i mnóstwo długobrodych pogan, brzuchatych okrutnie, w długich kaftanach i wysokich kołpakach. Był to zatem zjazd ogromny, a każdy tam usiłował piec swoją małą samolubną pieczonkę przy tym ognisku, roznieconem na to przez króla Zygmunta, aby ludzie podziwiali jego moc i przepych, a poddmuchniętym mu przez Zawiszę Czarnego na to, aby przy tym wspólnym ognisku rozgrzać się mogły bratnie serca trzech monarchów i porozumiawszy się ze sobą oszczędzić krwi i łez swoim ludom.

— Pacholiku Złoty, gonitwy rycerskie stanowczo naznaczył król na dzień drugi po Bożem Ciele, a oto masz i spis rycerzy, którzy oświadczyli się gotowymi do walki rycerskiej w dniu owym!

Tak mówił Zawisza Czarny, który wracał prosto od króla, wchodząc do komnat sobie przeznaczonych, gdzie Złoty pacholik w nowej godności giermka, otoczony różnemi częściami broni i zbroi, badał ją, doświadczał, próbował do ręki i bacznie oglądał, przy pomocy najlepszego węgierskiej stolicy płatnerza. Za przybyciem Zawiszy, przejrzano jeszcze raz i przedstawiono mu wszystko, co zdawało się wątpliwem lub niepewnem pod względem doskonałości zbroi i broni, i po ostatecznym porozumieniu, płatnerz zabrał jeszcze kilka niedokładnych sprzężek, naramiennik i przyłbicę, i poszedł dopełniać ich braku w swoim warsztacie. Złoty pacholik, pilny uczeń księdza kapelana Garbowskiego, zaczął z pewną trudnością wprowadzić, ale niemniej dokładnie czytać spis rycerzy, a było ich niemało, aż stu, różnych narodowości, Greków, Włochów, Francuzów, Polaków, Węgrów, Albańczyków, i t. d. Byli też między nimi: Zawisza Czarny, Jan Farurej brat jego, Dobek z Olśnicy, Mszczug ze Skrzynna, i inni.



— O! jakaż to rzecz wspaniała i piękna takiemu wyborowi walecznych mierzyć się z sobą, mając za sędziów tylu królów i książąt świeckich i kościelnych; prawdziwie można walkę taką nazwać zaszczytną! — mówił młody Jaśko z Dębinki, zachwycony wyobrażeniem cnót rycerskich, które przywiązane niejako do tych nazwisk sławnych, przesunęły się teraz wraz z nimi przed jego oczyma.

— Złoty pacholiku, ... ejże, chłopcze, powiedz sam, czy nie słusznie ja utrzymuję, żeś ty jeszcze z pacholęcia nie wyrósł?... — rzekł rycerz Zawisza, strofując. — Nędzą byłaby ta wspaniałość i marność taka piękność, gdyby jedynie popis miały na celu!

Chłopak mocno się zawstydził, poczuwszy odrazu, że popis, a nawet rycerska walka na cześć piękności jakiej, jak to w powszechnym zwyczaju u rycerzy bywało, nie mogły

być. Na ostatnie słowa chłopaka, nieruchomy rycerz spojrział na niego serdecznym wzrokiem i rzekł uprzejmie;

— Jakto, Złoty pacholiku, czyliż nie rozumiesz, że rycerskie walki takie jak ta, na którą się gotujemy, muszą mieć inny cel, niż próżny popis?

— Rozumiem to zupełnie, teraz zwłaszcza, gdy mi to powiedziałeś, szlachetny rycerzu, ale celu tego nie widzę!... — z ciężkim westchnieniem odrzekł chłopak.

— Jakże? nie widzisz więc, że z takich walk wypływa konieczne współubieganie się w wydoskonaleniu samej sztuki waleczenia, w użyciu oręża, w dźwiganiu zbroi i zażyciu rumaka? — zapytał Zawisza — A wszakże te to warunki, prócz ducha, stanowią rycerza, obrońcę prawdy, sprawiedliwości i słabości!



Król Ludwik XVI i Parmentier.

obudzić zapалу tak poważnego, jak Zawisza, rycerza, a bez zapalu, bez zagrzania ducha wzniosłym celem walki, trudno było chyba wystąpić do niej i odnieść zwycięstwo nad tak potężnymi współzawodnikami:

— O, rycerzu szlachetny — smutno rzekł Złoty pacholik — jakaż to jeszcze daleka droga do rycerskiej zaćności jest przedemną, kiedy ja, chociaż doskonale czuję prawdę słów twoich, przecież nie rozumiem ich nawet!

Zawisza Czarny, znużony całodziennymi trudami dworskimi i dyplomatycznymi, jakie z konieczności podzielony pomiędzy dwa królewskie dwory ponosił, znużony bardziej daleko, niżby był całodzienną walką orężną, siedział teraz przed ogniskiem komina nieruchomy w wielkim starożytnym krześle, wsparty plecami o wysoką poręcz, ręce założony na piersiach; w twarzy jego i w całej tej wyprostowanej, jakby zeszytowanej postawie, było coś przypominającego wielce posąg kamienny, niewzruszony w obec rozbijających się oń fale pospolitych namiętności ludzkich. Połyskliwie błyski ogniska, odbijające się w rozmaitych częściach czarnej i świetnej jak ciemniadło zbroi, porozkładanych i porozwieszanych na okolicznych ścianach, dawały mu dziwne a godne takiego posagu oto-

— Ach!... prawda! jak mogłem tego nie wiedzieć! — ze zdumieniem zawołał młody giermek — O, jakaż daleka droga moja, kiedy jeszcze nawet takiej prostej rzeczy sam nie zrozumiałem!

— Nie martw się, bracie — powiedział rycerz tklawie — droga do doskonałości daleką jest zawsze dla każdego, bo najdoskonalszy tu na ziemi grzesznikiem bywa! A ty jesteś tak młody, że nie masz przyczyny martwić się nieświadomością, mając czasu na oświecanie się dalsze podostatkiem, jeżeli życia Bóg użyje. Abyś zaś wiedział, że mimo młodości twój, mam zaufanie w tobie, powiem ci, iż oprócz tego ogólnego i zwykłego celu wszystkich turniejów, na ten raz, dla mnie osobiście te, które nadchodzą, będą miały wcale inny jeszcze szczególny cel i tajemniczą a wielką ważność...

Młody chłopak z mieczem obnażonym w jednej ręce, a w drugiej ze zwitkiem skórzanym, odpowiednio przyrządzonym do oczyszczania broni, stanął nieruchomy przed wzorem i ideałem swoim, wpatrzony weń, wstrzymując oddech, aby słyszeć lepiej; rycerz, zniżając głos, przez roztrópną ostrożność w obym kraju prawdopodobnie, mówił dalej:

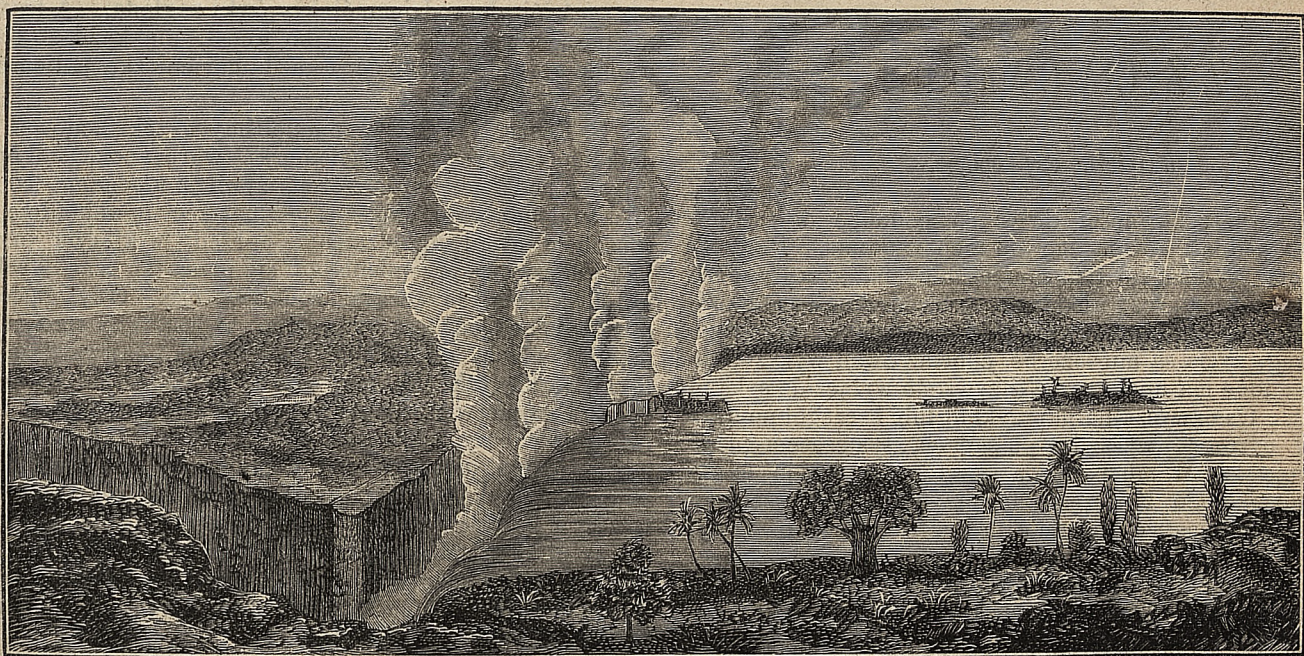
— Jeżeli na każdym podobnym igrzyskach zawsze przagnęłam się odznaczyć, to nieskończenie bardziej pragnę tego



## WODOSPAD RZeki ZAMBEZI.

na obecnych. I tak samo pragnąłbym, aby szczególnie na ten raz odznaczyli się walecznością wszyscy wstępujący w szranki Polacy, a to dla tego, prócz sławy, że my przedstawiamy tutaj jakoby całą wojenną moc i społeczność naszego polskiego kraju w obec zagranicy, zgromadzonej tu także w swoich przedstawicielach, więc jak ta zagranica nas osądzi, tak mniej więcej osądzi i całą Polskę, i wedle tego zachowa się z nią przy teraźniejszych ugodach, od których pokój i wojna, pomyślność i los jej może zależeć. Nie mówię ja przecież wcale, aby od naszych turniejowych powodzeń miały te układy zależeć, ale utrzymuję, że wrażenie, jakie w czasie igrzysk tych sprawimy, wywrze z pewnością pewien wpływ na ciągnące się układy pomiędzy królami Zygmuntem i Jagiellą; pragnę zatem, aby to wrażenie było jak najlepsze. Jedna rzecz wszakże jest mi w tém na przeszkodzie, a to nagroda turniejowa, jaką ogłoszono: koń złotem i podkowami dla zwycięzcy rycerza, ze srebrnymi dla giermka, ... a otóż nie życzyłbym

Podróżnik angielski Livingstone był pierwszym z tych ludzi nieustraszonych, którzy w naszych czasach dostali się w głąb Afryki, do okolic przedtem nieznanych. Livingstone wylądował na wybrzeże południowe i ztamtąd posuwał się na północ, zjednał sobie przychyłność krajowców i długo wśród nich przebywał, a i życie tam zakończył. Opis jego podróży, pełen ciekawych szczegółów, zachęcił innych do zwiedzania środkowej Afryki, Anglicy, Amerykanie, Francuzi, puszczali się w różnych kierunkach od wybrzeży w środek lądu, i rodak nasz Rogoziński z towarzyszami poszedł w ich ślady, wkrótce zapewne ląd ten tajemniczy zbadany zostanie dokładnie. Przed Livingstonem wyobrażano sobie, że cała część środkowa, nieznana lądu afrykańskiego, jest spiekłą pustynią; on wykrył tam lasy wspaniałe, ogromne rzeki, a najpierw ozna-



Wodospad rzeki Zambezi.

ani sobie ani współziomkom obudzać zawiści, zabierając tę nagrodę chciwym na nią, po większej części współwalczącym z zachodu... niech kto chce bierze konia ze złotem, byle razem powziął szacunek dla naszego oręża...

— Jakto, szlachetny rycerzu! czyliżby w istocie rzecz tak? Haha, jak koń z odrobiną złota u kopyt, miała aż zawiść wśród rycerzy obudzać? Alboż im nie o zaszczyt zwycięstwa głównie i jedynie idzie? — spytał giermek zdziwiony.

— Niestety, biedne Złote pachole moje — dobrotnie i smutno odrzekł rycerz — wyobrażenia i obyczaje rycerskie, sam duch rycerstwa starożytny, chylą się do upadku i gasną od dawna na szerokim świecie, w obecnych czasach daleko im do doskonałości pierwotnej... Co tam?... zdaje mi się, że ktoś do bram kołaczę?... Złoty pacholik już biegł do drzwi, gdy te otworzyły się i dworzanie oznajmił, że obecny rycerz, sławny kawaler L'Eclair, świeżo na turnieje przybyły, błaga o gościnność, nie mogąc na razie dobrać sobie wśród nocy odpowiedniej gospody.

(d. c. n.)

czył bieg nieznaną przedtem rzekę Zambezi, którą Anglicy na cześć jego nazywają także rzeką Livingstona. Podajemy tu z podróży jego opis wspaniałego wodospadu, przedstawionego na rycinie.

„Czy macie tam w swoim kraju dym, co grzmi i huczy, jak piorun? Takie pytania zadawali nam krajowcy na wybrzeżach rzeki Zambezi. Sami jednak rzadko kiedy mają odwagę zbliżyć się do wodospadu, który w ten sposób opisują. Po większej części zdaleka tylko spoglądają na ten cud przyrody, a słysząc huk wody, widząc kłęby mgły, unoszące się ponad rzeką w tém miejscu, przezwali wodospad: *Mosi-oatunia*, to jest dym grzmiący. Przekonanym będąc, że żaden Europejczyk przedemną nie widział tego wodospadu, pozwoliłem sobie użyć prawa, przysługującego wszystkim odkrywcom i nadałem mu nazwę wodospadu Wiktorii.”

„Płynęliśmy łodzią po rzece, gdy o ośm lub dziesięć kilometrów przed sobą ujrzeliśmy te słupy mgły, rzeczywiście do kłębow dymu podobne, wyglądające zdaleka jak pożar traw łąkowych, często w tej okolicy Afryki napotykany. Słupów tych jest pięć, chwieją się i kołyszają za powiewem wiatru, zdają się przyparte do tarasu niezbyt wysokiego, którego wierzchołek zarosnięty jest drzewami. Patrząc z tego odda-



lenia, możnaby sądzić, że wierzchołki słupów gubią się w chmurach; u podstawy są białe, wyżej przybierają barwę ciemniejszą, co im nadaje owe podobieństwo do dymu."

„Krajobraz otaczający jest cudnie piękny; ogromne drzewa rozmaitych gatunków porastają wybrzeża rzeki i wyspy, rozrzucone na niej; niektóre z tych drzew okryte są kwiatami. Potężny baobab, którego każda gałąź wygląda jak pień drzewa, rozkłada się obok gromadki palm wysmukłych, delikatne ich liście rysują się na szafirowym tle nieba, tworząc hieroglify, mające zawsze dla nas jedno znaczenie: ojczyzna daleko! one to bowiem nadają okolicy cechy zwrotnikowe, obce dla nas, mieszkańców północy. Niektóre drzewa mają liście srebrzyste, inne przypominają posępne cyprysy, a od tych liści ciemno-zielonych odbijają przepysznie purpurowe owoce. Inne wyglądają jak nasze dęby, kasztany, lipy, lecz widok ogólny tej okolicy nie ma nic równego sobie w naszym klimacie. Nigdy przedemną nie oglądało go oko Europejczyka. Wyniosłe wzgórza, lasami pokryte, z trzech stron zasłaniają widok, przed nami wznoszą się owe wspaniałe słupy mgliste."

## Z ŻYCIA OWADÓW.

### Drapieżne osy kopiające.

Osy z powierzchowności dosyć są podobne do pszczoł, obyczajami jednak różnią się od nich znacznie. Pszczoły żywią swoje potomstwo tym samym miodem, który jest ich własnym pokarmem, osy niedarmo w terminologii naukowej noszą nazwę drapieżnych, wszystkie bowiem w pierwszym okresie swego życia są mięsożerne, chociaż owad wykształcony zupełnie inne ma upodobania i żywi się wyłącznie sokami roślinnymi. Osa zwyczajna na przykład lubi szczególnie owoce, szkody ogromne wyrządza po sadach, tymczasem gąsieniczki swoje karmi muchami, a często i odrobinę mięsa z większego jakiego zwierzęcia im przynosi. Osa szerszeń dla swojego potomstwa morduje bez miłosierdzia pszczoły, postępuje z nimi tak samo, jak osa z muchami, to jest obrywa skrzydła i łapki, a z miększych części urządza coś nakształt papki, którą młode gąsieniczki chciwie pożerają.

Oprócz tych os pospolitych, są jeszcze inne gatunki, mniej znane, zaliczane do tejże samej rodziny i równie drapieżne. Tak zwane osy kopiające urządzą sobie gniazda podziemne; owady te rzadko się u nas przytrafiają, po większej części zamieszkują w krajach cieplejszych, w okolicach nadśródnomorskich. Ten sam uczony Francuz Fabre, o którym wspominaliśmy w poprzednim opowiadaniu z życia owadów, śledził także obyczaje os kopiających, odgrzebywał ich gniazda, hodował gąsieniczki u siebie w pudełkach i wykrył tym sposobem mnóstwo szczegółów niezmiernie ciekawych.

Osa wardzanka, *Bembex*, sadowi się w gruntach piaszczystych, wygrzebuje dość głęboki korytarz, w końcu urządza komóreczkę obszerną, wybierając do tego twardszą warstwę ziemi i tam jajko swoje umieszcza. Zazwyczaj też piasek ruchomy zasypuje całkowicie i przejście podziemne, i otwór zewnętrzny kryjówek, komóreczka tylko, schronienie gąsieniczki, zabezpieczone jest od tego. Nieraz widzieć można, jak wardzanka siada na piasku i dziwne jakieś skoki i tańce wyprawia; przesypuje, rozgartuje piasek łapkami i pyszczkiem, odrzuca słomki, drobne kamyczki, wyrównywa, zagląda, a ukończywszy tę dziwną robotę, odlatuje. Jest to znak niezawodny, że w tém miejscu znajdować się musi gniazdo, a w niem jajko lub mała gąsieniczka.

Czatując pilnie w pobliżu, można też wkrótce obaczyć też samą wardzankę, przybywającą z zapasami żywności, to jest z jakąś muchą, większą lub mniejszą, zawsze z rzędu dwuskrzydłych, *diptera*, jak muchy nasze domowe. Wówczas wardzanka siada w pewnym miejscu, które niczem się nie odznacza na piaszczystej powierzchni gruntu, tam jest wejście

do gniazda. Jakim sposobem owad rozpoznaje ten punkt pośród rozległej równiny, jednostajnie piaskiem pokrytej, to jest zagadka trudna do rozwiązania. Nigdy się jednak nie pomyli, nie zawaha się nawet ani na chwilę, prosto, jak strzała, spuszcza się na ów punkt, całkiem niewidzialny na piasku, szybko zaczyna grzebać łapkami, zanurza się w ruchomy piasek i niknie wraz z muchą, którą znaną sobie drogą podziemną niesie do gniazda.

Tam w głębi owęj komórki, w twardej ziemi wygrzebanęj, siedzi żarłoczne stworzenie, wcale niepodobne do swojej matki, mały robaczek bez nóg, który szybko rośnie, potrzebuje więc mieć podostatkami jedzenia. Taka gąsieniczka, od chwili wyjścia z jajka, żyje niedłuziej, jak dwa tygodnie w tym stanie, potem snuje sobie oprzęd i zasypia. Otóż w tym krótkim przeciągu czasu pożera około sześćdziesięciu much rozmaitej wielkości. Matka bardzo rozważnie postępuje z dostarczaniem jadła swemu malcowi, na początek przynosi mu zawsze jakąś muchę niedużą, bo wie, że nie potrafi jeszcze większej dać rady, a widocznie nieświeża zwierzyzna jest dla niego niezdrowa; w miarę więc, jak gąsieniczka podrasta, czuła mateczka chwytą coraz większe muchy i coraz częściej do podziemnej kryjówki zagląda. A trzeba pamiętać, że osa niejedno jajko znosi, dla każdego też musi osobne gniazdo urządzić i każdą gąsieniczkę jadłem zaopatrzyć.

P. Fabre, jak już wspomnieliśmy wyżej, hodował w pudełkach tekturowych gąsieniczki wardzanek, odkopawszy jajka z podziemnych komórek, żywił je muchami, co mu się doskonale udawało, mógł też przypatrzeć się dokładnie, jakim sposobem owad urządza sobie oprzęd, w którym przesypia kilka miesięcy, przemieniając się przez ten czas z robaczka na skrzydlatą, brzęczącą, ruchliwą osę. Gdy gąsieniczka dostatecznie już jest wypasiona, to jest, gdy spożyje kilkadziesiąt much, odrzucając z nich tylko najtwardsze części, łapki, różki, tak jak my odrzucamy kosteczki z kurczęcia, odsuwa najpierw starannie te resztki jedzenia na bok i zabiera się do roboty. Zaczyna snuć niteczki, tak samo prawie, jak gąsienica jedwabnika i czepiają je sztucznie do ścian swojego mieszkania, wyrabia tym sposobem rodzaj gestej siateczki, w kształcie stożka, rozciągniętego poziomo. Z jednej strony nitki są zebrane jakby w jeden węzeł śpiczasty, z drugiej zaś siatka ma otwór okrągły, przez który gąsienica wchodzi do środka. Ta początkowa robota wygląda zupełnie nakształt hamaku.

Urządziwszy tę siateczkę jedwabną w pudełku, gąsieniczka zaczęła skrobać zawzięcie ścianki swojego tekturowego mieszkania, dziwiąc się zapewne, że się nie osypuje piasek, potrzebny do dalszych robót. Domyśliwszy się, o co idzie, pan Fabre nasypał jej do pudełka ozdobnego piasku, szafirowego ze złotem; nigdy jeszcze zapewne żadna wardzanka nie miała do swęj budowy tak wspaniałych materyałów. Gąsieniczka zupełnie była zadowolona, szafirowy i złoty piasek wydał się jej równie dobry, jak i najprostsz, zabrała się żwawo do roboty mularskiej i używając śliny własnej za cement, pokryła całą siateczkę twardą kamienną skorupką. Kokon ten, który w warunkach zwyczajnych podobny jest do szarego jakiegoś roślinnego ziarnka, wyglądał tym razem jak piękny, lazurowy pa ciorek, złotem nakrapiany.

Czatując nieraz na wardzanki, powracające do gniazd, ze zdobyczą, p. Fabre zauważył, że owad okazuje często dziwny niepokój, zamiast usiąść odrazu na wiadomém miejscu i spuścić się do podziemia, krąży dokoła, brzęczy, jakgdyby niebezpieczeństwo mu zagrażało i usiłował go uniknąć. Widok człowieka, siedzącego w pobliżu, nie mógłby jednak tego wrażenia wywierać na wardzankę, która wcale nie jest bojaźliwa, nigdy też żadna nie zwracała uwagi na naszego uczonego, gdy ją podpatrywał. Inny to nieprzyjaciel napelnia biedną matkę taką niepojętą trwogą, nieprzyjacielem tym, nie dla niej, lecz dla potomstwa jej strasznym, jest muszka mniejsza daleko od tych, które są dostarczane na stół żarłocznej gąsieniczki, wardzanka z łatwością ją pokonała i dołączyła do spiżarnianych zapasów swego malca; czemuż więc



go nie czyni, lecz brzęczy niespokojnie, a czasem ucieka, zuciwszy trzymaną muchę na piasek?

Powiedzmy najpierw, jakie niebezpieczeństwo zagraża potomstwu wardzanki ze strony małej muszki czarnej o czerwonych oczkach. W świecie zwierzącym i roślinnym, tak samo, jak i pomiędzy ludźmi, są istoty, żyjące kosztem innych, wyzyskujące bezwstydnie cudzą pracę, nadano im nazwę pasorzytów. Widzimy rośliny, zapuszczające korzonki w pnie drzew lub łodygi ziół rozmaitych i wysysające z nich soki żywotne; są także owady, które wychowując potomstwo, nie zadają sobie pracy gromadzenia dlań zapasów żywności, lecz podstępnie składają jajka w gniazdach cudzych. Każdemu to zapewne przypomina kukulkę. Otóż i owa muszka, krążąca w sąsiedztwie gniazda osy wardzanki, jest taką kukulką w świecie owadów. Czatuje ona z wytrwałością godną lepszej sprawy na matkę, która pokarm przynosi dla dziatwy i korzysta z chwili, gdy ta zanurza się w piasek, wlokąc za sobą nieżywą muchę, aby na tej musze złożyć jajko. Sama więc nieszczęśliwa wardzanka wprowadza wroga do mieszkania, sadza go u stołu własnego dziecka. Przybłądów tych, wypasających się ze szkoda, prawego właściciela, zbiera się czasem spora gromadka, a biedna matka, zamiast jednego swojego malca, musi karmić ze dwanaścioro żarłoków. Smutne ztąd bardzo wyuikają skutki, gąsieniczka wardzanka chudnie, mizerniej, często ginie z głodu, a obce przybłądy bezkarnie zagartują wszystkie zapasy.

(d. n.)

## POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA

w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

Hans-John zaręczał, że potrafi dostać w tém miejscu nawet koni, ale żądał czasu, my zaś w wygodném obuwii lapońskiem i wypoczęci dostatecznie podróżą w łódkach i spoczynkiem, zapewnieni przytęm, że droga jest dobra i niedaleka, postanowiliśmy puścić się pieszo, czemu Hans przyklaskał tak ochoczo, jakby wcale nie był pewnym spełnienia świetnych swych obietnic co do koni. To pewna, że naokoło nie widać było ani koni, ani reniferów, ani nic podobnego nawet. Istotnie była tu urządzona jakaś droga czyli grobla, ale tak zagrzezła w bagniskach, że może bezpieczniej nawet było iść niż jechać. Pustynia błotna i karlejąca nagle a skąpa roślinność otoczyła nas, i w tém otoczeniu dobiliśmy się bez wypadku do celu podróży.

— Warangerfiord! — zawołał tryumfująco nasz przewodnik, wyciągając oba ramiona do błyskającej w oddali powierzchni oceanu — Hans-John-Bull umie prowadzić!

Niesprawiedliwością byłoby temu zaprzeczać, Hans prowadził nas i dbał o nas sumiennie. Przebyliśmy las brzozyowy dziwny, bardzo stary a nędzny i niski, niby skurczony i zgarbiony, przypominający dziecięcinalego starca... Potém rozpaliliśmy ogień na wybrzeżu i rozbiwszy namiot, rozciągnęliśmy się pod nim wygodnie, pijąc kawę, spoczywając i zjadając resztki zapasów, odnawianych gdzie było można, o co teraz nie było już kłopotu: oczekiwaliśmy w taki sposób na mały parowiec „Nord”, który u tych brzegów pełni funkcyje przewozowe i pocztowe. Hans odprawił swych towarzyszy i sam jeden pozostawał z nami, bo obowiązki jego ustawały dopiero z naszym wejściem na pokład „Norda”. Tak go zgodził pan Stern-Biorn, znający tutejsze brzegi, jak własne sprawy.

Można było, i to z pewnością na ten raz, dostać koni i lewem wybrzeżem Warangerfiordu dostać się do Wadso; Hans zapewniał, że naokoło w małej odległości jest kilka pojedyn-

czych, takich jak Polmak lub Gulielma domostw, które należą do bogatych kupców i przemysłowców, dorabiających się tutaj milionów. Ponieważ nie ma nigdzie zajazdów ani hoteli, więc każde takie domostwo jest zarazem i gospodą i zajazdem, każdy najbogatszy posiadacz przyjmuje uprzejmie w swym domu i gości, i zapłatę, a konie i wózki mu wynajmuje. Wiedzieliśmy o tém już z własnego doświadczenia w Polmaku i w Gulielmie, ale byliśmy istotnie trochę znużeni przejściem od Tany, a co najważniejsza, że w miejscu, do którego doszliśmy na wybrzeżu, nie było prawie wcale komarów. Było to tak wielkiem szczęściem w mojem przekonaniu, że głównie na moje prośby postanowił ojciec obozować, zamiast dojść do najbliższego bogatego osadnika, do miejscowości, zwanéj Nyborg.

Postanowiono, że gdyby „Nord” się spóźniał, a nam zabrakło żywności, kupionej w Gulielmie, to Hans pójdzie po nią do Nyborga albo do Styranu. Ten Hans był to, a prawdopodobnie i jest dotąd, szczególny także okaz przewodnika w swoim rodzaju. Był on niejako *entrepreneur*em co do naszej podróży, a swych towarzyszy wynajmował w jéj ciągu kilka razy sam od siebie. Otóż, gdy przybywszy do fiordu, odprawił ich i rozplacał się z nimi, przyszło z konieczności i do jego rozplaty z ojcem; Hans zdarł ojca najokropniej, pewni byliśmy, że schwyciwszy pieniądze ucieknie coprędzej, tymczasem on sam jeden pozostał z nami, nie jak przewodnik, ale jakby jaki życzliwy sługa. Ojciec mu powiedział:

— Hans! czy ty nie lękasz się, że jak przypłynie „Nord” i ja dostanę się między ludzi, to oskarżę cię o zdzierstwo?... przecież jest tu i na was kontrola!

Hans odrzekł:

— Nic a nic się tego nie lękam! Owszem, pewien jestem, że ty ze mną drugi raz w podróż pojedziesz i innym podróżnikom mię zalecisz: chwytam pstrąga obu rękami, gdy go schwytać mogę, ale umiem go przyrządzać!

Ojciec na to porównanie parsknął śmiechem i rzekł do mnie, że to wychodzi na jedno, jakgdyby rzec po polsku: „drę łyka, kiedy się drzeć daje, ale mimo to, obowiązki swoje doskonale spełniać umiem”. Widząc ojca śmiejącego się, sprytny Sames rozśmiał się także na całe gardło, i podał nam na świeżo sporządzonych rozłożystych widelkach drewnianych, o kilku krzaczastych zębach, ogromne kawały pstrąga, istotnie tak przyrządzonego, że restaurator w Paryżu, gdyby umiał i mógł téj sztuki dokazać, zrobiłby na tém w pół roku majątek. Urwis ten Sames, kosmopolita, niedługiego potrzebował czasu, aby ojca poznać do gruntu. Ojciec powiedział do mnie po polsku:

— Wsiadając i wysiadając z lapońskich łódek, na szalonernej Tanie zwłaszcza, przy innym przewodniku mogliśmy utonąć najmniej razy dziesięć każdy.

Przypomnę, że naszemu ojciec zaraz zauważył, że brzegi fiordu w miejscu naszego obozowiska były daleko niższe i przedstawiały łatwiejszy dostęp, niż dalsze widzialne naokoło. Istotnie skaliste i wysokie brzegi Warangerfiordu trudny w ogóle przedstawiają dostęp, ale ojciec po swojemu dopatrywał już dobrych stron w tém miejscu, w którym ja zapragnąłem obozować, aż mię wstyd zdjął za takie nadużycie dobroci ojca, i powiedziałem, że przecież mogę iść dalej do Nyborga. Ale Hans, zrozumiawszy naszą rozmowę, wdał się w nią zaraz, zapewniając, że istotnie punkt jest dobry, bo „Nord” chcąc nie chcąc musi przepływać w pobliżu, a wtedy, gdy mu znak damy, przyśle po nas. I otóż niedługo, bo w dwadzieścia dwie godziny po naszym przybyciu nad brzeg oceanu, sprawdziły się stanowcze przepowiednie Hansa, i znaleźliśmy się na pokładzie pięknego „Norda”. Tegoż dnia (wedle zegarka) stanęliśmy w Wadso.

Dziwny jakiś smutek zaczynał mię ogarniać, gdy zapowiedziano, że zbliżamy się do Wadso. Przez chwilę walczyłem z jakiemiś nieokreślonymi a przykreimi uczuciami, stojąc wsparty o balustradę, aż nogi zachwiały się podemną i mimowoli osunąłem się na ławę:

— Boże mój, cóż się to zemną dzieje! — pomyślałem przerażony bardziej niż należało, bo przecież ludzie byli koło



mnie. Ojciec schwył mnie za ramię, był bardzo blady, obaj spojrzeliśmy sobie w oczy:

— Co to jest?... Czy i ojcu tak?... — spytaliśmy się nawzajem.

— Czy panowie poraz pierwszy znajdują się w atmosferze wyrobu guana? w pobliżu osad tutejszych rybackich? — zapytał w tej chwili młodzieńki podporucznik statku, schylając się nad nami ze znaczącym na ustach uśmiechem... był z pewnością niewiele starszy odemnie.

— A!... — rzecze ojciec — dziękuję panu, żeś mnie ze strachu wybawił, mój syn istotnie poraz pierwszy znajduje się w tej atmosferze, ale ja byłem już po tamtej stronie, na Atlantyku, doświadczałem tego i mimo to nie zrozumiałem, co się z nami dzieje; jakże to człowiek traci rozum w strachu... ach, dziękuję panu!...

Ostatnie wyrazy ojca wymówione były z powodu niedużej, bardzo wykwiśniętej flaszeczki, którą młodzieńki podporucznik przysunął mi do nosa...

— „Traci rozum w strachu” nie o siebie... — poszepnął z przyciskiem i z wytworną grzecznością podporucznik, u którego najoczywistszy wyraz „strach” znaczył tyleż, co oszustwo, rozbój, lub zabójstwo, albo co gorszego jeszcze, jeżeliby to było możliwem. Przytęm skrapiał on mi płynem pachnącym twarz i ręce.

(d. c. n.)

### Homonymy. (Przymulka różowa).

Przysłówek znajdziesz w gramatyce,  
Miasto ubogie w kamienice,  
Rzecz niezbędną przy fabryce.

### Łamigłówka zegarek. (Od Różyczki polnej dla Wybredni).

Ułożyć 12 wyrazów czterogłoskowych, zaczynających się od litery K. Znaczenie wyrazów: 1. Tytuł pisma. 2. Napój. 3. Część samowaru. 4. Zaimek. 5. Gatunek drzewa. 6. Ptak dziwaczny. 7. Ptak domowy. 8. Mieszkaniec Azji. 9. Okrycia przy hydropatycznem leczeniu używane. 10. Duży kawał drzewa. 11. Ptak. 12. Bajeczna księżniczka czeska. Końcowe litery utworzą nazwisko znakomitego uczonego polskiego z XIX wieku.

K

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

### Szarady:

Po — raj.

### Łamigłówki anagramowej:

1. Plecy 2. Rano. 3. Atak. 4. Woda. 5. Dziad. 6. Zabór. 7. Ikra. 8. Warta. 9. Elba. 10. Baron. 11. Osina. 12. Grab. 13. Arak. 14. Ceres. 15. Tarka. 16. Woły. 17. Owal.

Prawdziwe Bogactwo.

## REBUS.



## Kronika Rodzinna.

„Kronika Rodzinna” wychodzić będzie w kwartale przysyłym w tymże samym kierunku i warunkach. Zamieszczając artykuły treści poważnej, powieści, komedye, wspomnienia z podróży, korespondencye z Paryża, Londynu, Berlina, Wiednia i inne.

Prenumeratory „Kroniki,” otrzymać mogą po cenie zmniejszonej różne wartościowe dzieła i oleodruki, wykonane starannie w zakładach zagranicznych i krajowych, oraz w dodatku bezpłatnym wydane nakładem Redakcyi PAMIĘTNIKI MARYI WESSŁOWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIESKIEJ, spisane ze wspomnień i archiwów jej rodziny.

PRENUMERATA roczna w Warszawie rs. 4, na prowincyi, w kraju i zagranicą rs. 5 — (t. j. w Galicyi reń. 6 — w Poznańskim marek 10), stosownie do tej ceny opłata półroczna i kwartalna.

Przesyłki pieniężne adresować należy wprost do Redakcyi: Warszawa, ulica Mazowiecka Nr. 10.

Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TREŚĆ: Stuletnia rocznica rozpowszechnienia ziemniaków (z drzew.) — Na jesieni wiersz p. Wincentego Pola. — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a (c. d.) — Wodospad rzeki Zambezi (z drzew.) — Z życia owadów. — Pościół śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Basia (z drzew.) — Myski. — Powój wiersz p. Helenę Bojarską. — Siostrzyczki p. Wiochnę z pod Lublina. Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryą Świdorską.



## BASIA.

Mało jest dziewczątek tak roztropnych i dobrych, jak Basia, córeczka rymarza z ulicy Ś-to Jańskiej. Matka jej dawno już nie żyje, ojciec jest ubogi i ciężko pracować musi, aby wyżywić siebie i córeczkę. Basia, choć jeszcze nieduża, jak widzicie z podanego tu jej wizerunku, umie już być prawdziwą pomocą ojcu. Gdy z rana stara Grzegorzowa stróżka rozpali w piecu i przystawi garnki z jedzeniem, a sama odejdzie do innej roboty, Basia doskonale dopilnuje, żeby mleko nie wykypiało, zawsze w porę

## MYSZKI.

Były sobie dwie myszki, mieszkaly w jamce pod drzewem, w dzień zwykle siedziały tam pod ziemią ci-chuteńko, a wieczorem, gdy już na dworze się zmierzcha-ło, najpierw jedna, potem druga wystawiała pyszczek z jamki, i jeżeli nigdzie nie słychać było żadnego szele-stu, biegły prędziutko szukać czegoś smacznego do jedzenia. Lubiły te myszki różne korzonki, ale najlepiej im smakowały ziarenka i szukały ich pilnie wśród tra-wek i ziółek.



Basia.

garnek od ognia odejmie, a robi to tak ostrożnie i rozsądnie, że nigdy się nie oparzy. Sama ojcu podaje śniadanie i obiad, potem naczynie posprząta i umyje porządnie, zamiecie w izbie, kurze pościiera i posługuje ojcu we wszystkim, o ile jej sił starczy.

Gdy ojciec musi wyjść na miasto, zostawia ją samą w domu i zupełnie jest spokojny, bo wie, że Basia nie wybiegnie na ulicę ani na podwórko, ale na krok się nie ruszy, póki ojciec nie powróci. Jeżeli przyjdzie pan jaki i chce coś kupić u rymarza, ona doskonale pamięta, ile każda rzecz kosztuje, zawsze przemówi grzecznie i uprzejmie do gościa, powie, gdzie ojciec poszedł i czy prędko powróci, zapyta, co ma ojcu powiedzieć, jeśli kto ma do niego interes. Wszyscy sąsiedzi ją lubią i nazywają małą gospośią, a ojciec prawą ręką swoją.

Pewnego wieczora biegły obok dworu i spotkały się ze znajomą myszką domową. Była to daleka ich krewna, starsza od nich znacznie, więc przez uszanowanie nazywały ją ciocią, ona zaś na nie wołała po imieniu. Jedna miała imię Szarusia, druga Aksamitka.

— Dobry wieczór, Szarusiu, dobry wieczór, Aksamitko — powiedziała myszka domowa.

— Dobry wieczór cioci — odpowiedziały.

— A gdzie się tak śpieszycie?

— Jeszcześmy dziś wieczeryzy nie jadły, proszę cioci — rzekła Szarusia — bo taki jakiś hałas był koło naszego mieszkania, żeśmy się obawiały wychodzić. Ale tu nie daleko jest łączka, znajdziemy tam pewnie dużo ziarenek dojrzałych.

— Zawsze się wam dziwię — mówiła myszka domowa — że tam na tej pustyni mieszkacie. Nie wiem, cze-



## POWÓJ.

mu się nie przeniesiecie tu do dworu, miałybyście daleko lepsze wygodę i smaczniejsze jedzenie. Lubię i ja czasem ziarnka, ale wolę serek i słoninkę. O! słoninka, to wyborna rzecz, jabym żyć nie mogła bez słoninki.

— Ej, moja ciociu — odrzekła Aksamitka — nam tak dobrze w tej jamce, gdzie mieszkali rodzice nasi i dziadowie, nigdy w życiu nie chciałabym się ztamtąd wynosić, a i Szarusia pewnie tak samo myśli.

— O, tak — dodała Szarusia.

— Bo nigdy chyba nie widziałyście piękniejszych mieszkań i nie kosztowałyście słoninki — mówiła mysz domowa, kręcąc pogardliwie ogonkiem.

— I owszem — rzekła Aksamitka — byłyśmy przecież kiedyś u cioci na imieninach, częstowała nas ciocia słoninką w tym ładnym swoim salonie pod podłogą spiżarnianą.

— Niezła jest ta słoninka — powiedziała Szarusia — ale nie musi być bardzo zdrowa. Pamiętam, że jak wróciłam z tych imienin, dostałam niestrawności i musiałam na drugi dzień być na dyecie.

— Więc naprawdę nie macie ochoty mieszkać w takim pięknym salonie, jak mój, i zjadać codziennie różnych przysmaków? — pytała myszka domowa z podziwieniem — żebyście wiedziały, jak tu u nas wesoło i przyjemnie, zwłaszcza odkiedy gospodyni wyrzuciła ztąd tego obrzydłego kota za to, że wypił śmietankę, przygotowaną do kawy dla państwa. Jest nas spora gromadka pod podłogą spiżarnianą, a jak tylko ucichnie wszystko, biegamy sobie wszędzie, tańczymy po stołach, po półkach i zjadamy różne przewyborne rzeczy. O, bo ludzie mają gust dobry, co też to oni za osobliwe specjały przyrządzają!

Mówiąc to, myszka zaczęła się oblizywać, a Szarusia powiedziała:

— Jabym tam nie mogła wyżyć w takiej zamkniętej spiżarni; daleko przyjemniej jest biegać po polach, po łąkach, żeby jeszcze nie te niegodziwe sowy, co ciągle na biedne myszki czatują, byłaby rozkosz prawdziwa. Ziarnka i korzonki są bardzo smaczne i zdrowe, obejdziemy się bez tych wymyślnych przysmaków spiżarnianych, nieprawdaż, Aksamitko?

— O, tak, tak! — zawołała Aksamitka — najlepiej to przestawać na swoim. Dobrze nam w naszej jamce, nie przeniesiemy się do dworu, niech tam ciocia co chce mówi, niema to jak skromne życie wiejskie na świeżem powietrzu, jedzenie niewybredne a zdrowe.

— Ach, moja Aksamitko — przerwała jej Szarusia — my tu gadu gadu, a tymczasem noc zapada, straszniemy się dziś z wieczszą opóźniły, już jestem porządnie głodna. Dobranoc cioci.

Dwie młode myszki pobiegly śpiesznie na łączkę, a mysz domowa przesunęła się szybko wzdłuż ściany i wskoczyła w dziurkę, prowadzącą długim przejściem podziemnym aż pod podłogę spiżarnianą.

Piął się powój po tyczce, a pyszny z natury,  
Myślał, że sobie winien wzniesienie do góry;  
Z pogardą więc spoglądał na inne rośliny,  
Mówiąc, że rosną nisko z własnej tylko winy;  
A gdy nieraz złośliwość zbytnia go uniosła,  
Dokuczał wciąż stokrotce, co tuż przy nim rośla.  
Biedaczka tak jak mogła bronić się starała,  
Bo i coś ona winna, że wyrosła mała?  
Wtém raz, gdy począł mówić o znaczeniu swoim,  
Wiatr się zerwał i tyczkę przewrócił z powojem.  
Zawstydził się pyszałek i usechł z rozpaczey,  
Widząc, że sztuczna wielkość tak niewiele znaczy,  
Że ją lada wiew wiatru zniweczyć jest w stanie.  
Wzniesć się o własnej sile — oto jest zadanie!

*Helena Bojarska.*

## SIOSTRZYCZKI.

Pewnego dnia, podczas lata, dwie małe dziewczynki, Mańcia i Nusia, poszły na całe poobiedzie z mamusią do ogrodu. Mańcia wzięła z sobą robotę szydełkową i książkę, pożyczoną od swjej sąsiadeczki Waluni, młodsza zaś o dwa lata Nusia dużą lalkę w niebieskiej kretonowej sukience, grabki, łopatkę i wózek.

— Pocóż wy bierzecie to wszystko? — spytała mama.

— Ja będę kopała ogródek dla lalusi, więc biorę grabki, łopatkę i wózek do piasku, a nie mogę Aldony zostawić samęj w domu, biedaczka dosyć się wynudzi w zimie — odparła Nusia z poważną minką.

— To dobrze, ja pójdę do ogrodnika, każę mu narwać wisien, a wy bądźcie grzeczne, moje córeczki, i pokażcie, żeście już rozsądne panienki, których nie trzeba pilnować, jak małe dzieci — rzekła mama, odchodząc w stronę ogrodu warzywnego.

— Niech mamusia będzie spokojna — zapewniała jeszcze Nusia.

— Poczytasz mi trochę, Nusi? — spytała Mańcia.

— Jeszcze tegoby brakowało; czy ty, Mańciu, nie umiesz czytać, żebym ja się miała dla ciebie trudzić?

— Ale bo widzisz, Nusieczko, chciałabym bardzo skończyć tę serwetkę na imieniny cioci, a to już tylko tydzień.

— E, jakaześ ty nudna, to kiedyindziej przeczytasz te powiastki.

— Nie przeczytam już ich wcale, bo w niedzielę muszę oddać książkę.

— Musisz, dla czego?

— Bo Walunia chce ją zawieźć swjej kuzynce Stasi, do której ma pojechać w tych dniach.

— W każdym razie to nie moja wina — zawołała Nusia niecierpliwie.

— Szkoda, tam są takie ładne powiastki — szepnęła Mańcia smutnie, wyjmując robotę z koszyczka, a łezki zakreśliły jej się w oczach.



Tymczasem Nusia zobaczyła na drugim końcu alei starszą o lat kilka od siebie kuzynkę Elżunię, dorastającą już panienkę, i pobiegła ku niej, wyciągając rączki, ale Elżunia słyszała widać dość głośną rozmowę dziewczynek, bo odsunęła swoją dotychczasową pieszczotkę, mówiąc:

— Niegrzeczna jesteś, Nusi, nie kocham cię — i siadłszy obok Mańci, zaczęła jej głośno czytać jakąś powiastkę z książki Waluni.

Nusia zaczerwieniła się po same uszy, bo to był wstyd wielki, że ta dobra, miłutka Elżunia słyszała wszystko; pewno już wcale kochać Nusi nie będzie, sama to przecież powiedziała, nie uszyje sukienki dla Aldony i nie opowie żadnej z tych ślicznych bajeczek, których umiała tak dużo, tak dużo, a wszystkie ładne, jedna ładniejsza od drugiej.

Biedna Nusia! już na samą myśl o tém zbierało jej się na płacz i ochota do zabawy opuściła ją zupełnie, siadła więc osowiała na murawie za ławeczką, na której siedziały Elżunia i Mańcia, a z za krzaków nie było jej wcale widać. Grabki i łopatkę rzuciła na bok, tylko Aldonę trzymała na kolanach, powierzając jej swoje zmartwienie.

Po chwili zaczęła się przysłuchiwać powiastce czytanej przez Elżunię, dziwnym trafem była tam także mowa o pewnej niedobrej siostrzyczce, bardzo nieuczynnej, zupełnie jak Nusia

— Jakaż ta Alinka była niegrzeczna — szepnęła dziewczynka; wtém przyszło jej na myśl, że ona także nie była lepsza. Alinka nie chciała pożyczyć siostrzyczce Zosi swęj nowęj książki z obrazkami, a Nusia znowu nie chciała przysłużyć się Mańci, téj kochanej Mańci, która dla niej jest zawsze tak dobra. A jeśliby ich mamusia, jak mama w powiastce, rozłączyła je teraz, żeby uniknąć sprzeczek? O mój Boże! Nusia zaczęła cichutko płakać.

W końcu, gdy Elżunia przeczytała opowiadanie starej piastunki Małgorzaty, która namawiając Alinkę do zgody mówiła, że nawet bezmyślne zwierzątka kochają się między sobą i na przykład podała dwie kokoszki siostrzyczki, które jedna bez drugiej żyć nie mogły, choć im Bóg nie dał rozumku, jak Alince, Nusia nie mogła się powstrzymać: wybiegła ze swego schronienia i rzucając się Elżuni na szyję, zawołała:

— Już nie będę taka niegrzeczna, jak Alinka, tylko nie gniewaj się na mnie.

Mańci, która myślała, że siostrzyczka bawi się w najlepsze kopaniem ogródka dla Aldony, aż robótka z rąk wypadła z przestrachu, ale Elżunia, kto wie czy nie namyślnie wybrała tę powiastkę, ucałowała więc zapłakaną dziewczynkę, mówiąc:

— Otrzyj łezki, Nusi, skoro żałujesz, to nie jesteś taka, jak Alinka; zresztą, jak zobaczysz i ona się poprawiła w końcu.

Wtedy Nusia serdecznie uściskała i przeprosiła Mańcie, a wracając znów do Elżuni:

— Ale mnie będziesz kochała, Elżuniu? — spytała patrząc jej w oczy niespokojnie.

— Ależ naturalnie, moja droga Nusi.

— I uszyjesz mi sukienkę dla Aldony?

— Trzy, cztery, dziesięć, ile zechcesz tylko.

— I opowiesz mi ładną powiastkę?

— Jaknajpiękniejszą: o wrózkach, o strachach.

— O! tylko nie wieczorem, bo nie będę spała w nocy.

— To opowiem ci historyjkę o pewnej Nusi, która będzie bardzo grzeczna, jeśli zastąpi w czytaniu biedną Elżunię, która nie może oddychać z wielkiego zmęczenia — rzekła wesoła kuzynka z uśmiechem, podając Nusi otwartą książkę.

Po godzinném może czytaniu, rozpoczęła się zabawa z Elżunią, tém przyjemniejsza, że nastąpiła po użyteczném zajęciu, a obie dziewczynki były wesołe, swobodne i zadowolone z siebie.

*Wiochna z pod Lublina.*

**Łamigłówka zgłoskowa.**

(Jabłonka z Podola).

Z następujących zgłosek: a—a—a—ba—bo—oz—ra—rat—ren—róg—stry—tu—tum — ułożyć wyrazy: 1. Imię biblijne. 2. Kwiaty jesienne. 3. Obrona zwierzęcia. 4. Miasto na Kaukazie. 5. Wyraz używany przy grze w karty. 6. Rzeka w Europie. 7. Góra w Azji. Końcowe litery, od góry do dołu odczytane, utworzą imię, króla polskiego, początkowe w tym samym kierunku imię jego żony.

**ROZWIĄZANIE DO N-ru 39-go.**

**Zadania konikowego:**

Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą.

**Skrzynka do listów.**

**Stokrotka z nad Granicy** trafnie odgadła łamigłóvkę.

**Helence Z.** i jej siostrzyczkom dziękujemy za przesłane robótki, czemuż jednak te miłe dziewczątka nie chciały się zastosować do warunków konkursowych?

**Malwa** ucieszyła nas bardzo doniesieniem, że konkurs nasz dał jej ochoty do ręcznych robótek, taki był główny cel tego konkursu. Malwa odgadła trafnie prawdziwe imię i nazwisko Truskawki.

**Sarneczka z nad Sanu** już się dowiedziała, że robota jej wcale do najgorszych nie była zaliczona.

**Cyganecka z nad Horynia** nazywa pisanie swoje bazgraniną, a ponieważ obowiązkiem naszym jest mówić zawsze korespondentkom naszym kochanym szczerą prawdę, więc wyznaczyć musimy, że nazwa ta jest słuszna. Czemuż jednak Cyganecka nie stara się poprawić swojej kaligrafii? Trzeba na to tylko dobrej woli, nie raz też powtarzamy, że czytelne i ładne pismo nie jest wcale rzeczą tak małego znaczenia, jak się młodym panienkom zdaje i warto sobie zadać troszkę pracy dla nabrania wprawy. Skalka z nad Teterowa nazywa się Klementyna, ma lat 7. Dokładnych adresów nie mamy zwyczajnie podawać w Pisemku, prosimy kochanych korespondentek, aby się o to na nas nie gniewały, mamy bowiem ważne powody do tego.



**Czarnobrewce** dziękujemy bardzo, że zaraz po powrocie do zdrowia o nas pomyślała. Nie dziwimy się wcale, że w czasie wakacyj mniej liścików nadchodziło, mamy nadzieję, że kochani korespondenci zimą nam to wynagrodzą.

**Prymalka** dobrze ułożyła łamigłówkę, ale odgadnięcie jej zadanie jest łatwe, bo małe nawet dzieci wiedzą, kto odkrył Amerykę.

**Dąb z nad Dubniczanki** bardzo dobrze rozwiązał zagadkę Sokoła czarnego i porządnie to rozwiązanie napisał. Dowcipny ten Sokół nie podał prawdziwego swego imienia i nie odzywał się więcej do redakcyi. Może teraz, dowiedziawszy się, że zagadka jego podobala się bardzo czytelnikom, drugą podobną nadesła.

**Kukułce i Bociankowi z nad Sanny** donosimy, że robótki ich, chociaż na konkurs się spóźniły, oddano także ubogim dzieciom. Ponieważ mamy zamiar urządzić drugi taki konkurs, więc kochane ptaszyny wynagrodzić to sobie będą mogły.

**Pigułeczka** widoczne postępy czyni w kaligrafii, cieszymy się bardzo, że i Mama zdanie nasze podziela i córeczce zaleca, aby starała się ładniej pisać. Co do robótek, zdarza się to dziś dość często paniom, że wolą inne zajęcia, a tę umiejętność, tak potrzebną kobiecie, zaniedbują. Może też niejedna pójdzie za przykładem Piguleczki i do robótek ręcznych się zabierze, aby mogła należeć do następnego konkursu. Wielka to będzie radość dla nas.

**Dzierlatce z nad Zharu** radziłyśmy dogodzić i donieść, jak się nazywa dziecko, które jej robótkę dostało, ale to niepodobna, kochana Dzierlatko, gdyż rozdanie tych robótek musiało być powierzone Siostrom Miłosierdzia.

**Wiochna z pod Lublina** trafnie odgadła, że nieufność nasza co do powiastek pochodzi ze smutnego doświadczenia. Czasem też młode panienki przez niewiadomość wprowadzają tym sposobem w błąd redakcyę, nie rozumieją bowiem, że jest różnica pomiędzy utworem własnym a tłómaczonym.

**Krukowi** dziękujemy bardzo za opis przedstawienia Obrazów historycznych. Jakaż to szkoda, żeśmy nie mogli widzieć, jak Kruk był Stefanem Czarnieckim a Srocza Opalińskim. A czy i zakończenie było takie same, jak w przedstawieniu Micia? Ciekawi jesteśmy także, dlaczego to siostrzyczka tak nieładnie Kruka nazywa? nie może to być bez powodu.

**Niezabudce z nad Uszy** donosimy, że autorka „Prawdziwego Bogactwa” już pisze uważ powiastkę dla naszego Pisma, prawdopodobnie jednak dopiero na początku przyszłego roku druk jej rozpoczniemy.

**Paproc litewska** przypomina nam nazwiskiem swoim dawniejszą, miłą bardzo korespondentkę, witamy ją serdecznie, spodziewamy się, że i ona stale odtąd pisywać będzie i należeć do naszych konkursów.

**Edward G.** nadesłał dwa rebusy, w których jednak dużo jest niedokładności, może się dadzą poprawić.

**Siekierka** pisze tak ładnie, że powinna była należeć do konkursu kaligrafii. Stanie się zadość życzeniu kochanej Siekierki, robótką, choć spóźnioną, oddana będzie ubogiemu dziecku, a i drugi konkurs podobny urządzimy, bo wszystkim się bardzo podobał.

**Ktoś**, nieczytelnie podpisany, zapytuje, co to takiego Syrena. Jest to istota bajeczna, pół kobieta, a pół ryba, dlaczego zaś stanowi herb naszego miasta, nie potrafimy wytłómaczyć. Podobno było podanie w czasach dawnych, że taka syrena przebywała w nurtach Wisły, w miejscu, gdzie dziś stoi Warszawa.

**Czczotka z Zajezierzan** trafnie łamigłówkę odgadła i dobrze ułożyła inną, czy jednak znajdzie się na nią miejsce, upewniać nie możemy.

**Lilijka z nad Mrogi** uszczęśliwiła nas obietnicą czytowania „Wieczorów” do swego włosa. Nie wymagamy jednak, aby dotrzymała słowa, wdzięczni jesteśmy za chęć samą. Upewniamy też kochaną Lilijkę, że gdyby i dwa razy dłuższe liściki pisywała, zawsze będą z przyjemnością odczytywane, tém bardziej, że są pisane tak ładną i czytelną kalografią. Rubel własną pracą zarobiony oddaliśmy biednym dzieciom wygnańca z Prus.

**Wytrwałość** może znaleźć tę wiadomość w Encyklopedyi lub obszerniejszej historyi polskiej. Rubla oddano ubogiej rodzinie

wygnańca, którego adres podano w jednym z poprzednich N-rów Pisma.

**Małopolanka** przesłała dobrą łamigłówkę, umieścimy ją niezadługo. Nie wymagamy wcale, aby łamigłówki były układane bez pomocy starszych, warunek ten stosuje się tylko do zadań konkursowych.

**Malinie z Siedlec** dziękujemy za szarady; byle tylko miała troszkę cierpliwości, ujrzy je z pewnością wszystkie wydrukowane i powiastkę także, bo jest stosowna do dodatku. Serdecznie życzymy kochanej Malinie, aby w dobrych chęciach wytrwała, pamiętając zawsze o tem, że takie przedsięwzięcie bez pracy i trudu spełnione być nie może, a i do zawodów i rozczerzowań przygotować się trzeba zawczasu.

**Jabłonkę z Podola** upewniamy, że robótki, nawet i niezbyt wykwintne, zawsze się jakimś biednemu maleństwu przydadzą, a to powinno do zadowolenia kochanej robotnicy wystarczyć.

**Pani Maryi S. w Kaliszu.** Katechizm dla 9 letniego dziecka polecić możemy p. Józefy Kamockiej. Za wyrazy życzliwości serdeczne zasyłamy Bóg zapłać.

„Kochane Prymalko różowa i Różyczko polna! Pознаłam z liścików waszych, że jestem dawną waszą znajomą, z którą uczyłyście się tańczyć. Zgadnijcie kto jestem. Ściskam was serdecznie, kochająca Malwa.”

„Kochana Pszczółko litewska! Jestem siostrą Ex-Czapli (Gopla) która jest na pensyi w Krakowie. Twoja Pliszka z nad Gopla.”

„Miła Wielkopolanko! Na żądanie, abym ci o sobie doniosła, odpowiadam, że jestem jedynaczką, mieszkającą z rodzicami w Kąkiku. Twoja życzliwa Ukrainka na Mazowszu.”

„Kochana Gałązko litewska! Śliczny pseudonym sobie obrałaś; chciałabym bardzo poznać cię osobiście, gdy jednak to być nie może, ponieważ mieszkamy daleko od siebie, więc zawiążmy choć listowną znajomość za pośrednictwem Wieczorów. Ja zaczynam i donoszę ci, że się nazywam Maryla, wkrótce skończę lat 16, mam dwie młodsze siostrzyczki, uczę się w domu. Odpisz mi, niecierpliwie oczekiwać będę odpowiedzi, a teraz przyjm uścisk serdeczny od nieznannej przyjaciółki Lilijki z nad Mrogi.”

„Droga moja Ukrainko na Mazowszu! Pseudonym twój bardzo jest dla mnie przyjemny, bo pierwszy jego wyraz przypomina mi strony, w których zeszłoroczne wakacje wesoło spędziłam. Chciałabym, ażebyśmy się poznały, może też to nastąpi, gdyż mieszkamy w tych samych stronach. Nim jednak chwila ta nadejdzie, poznamy się listownie. Odczytaj, co napisałam do Gałązki litewskiej, a dowiesz się, kim jestem. Twoja Lilijka z nad Mrogi.”

„Ucieszyłaś mnie, droga Bławatko z nad Horynia, twą odezwą. Co do kaprysów, to mi się zdaje, że prawie każda jedynaczka lub najmłodsza córeczka je miewa, będąc małą, lecz potem się z tego wyrasta. Kochająca Ukrainka na Mazowszu.”

„Kochany Zawierucho! Już dawno chciałam ci odpowiedzieć, ale nie miałam czasu, bo szylam tę nudną koszulkę na konkurs. Ach, wiesz, żeby to nie dla biednych dzieci i nie na wezwanie kochanych „Wieczorów”, za nic w świecie bym jej nie szyla. Mam lat 9, mieszkam na wsi, nazywam się, jak bohaterka z „Pana Tadeusza”, nie jestem do niej podobna, chyba z tego, że karmię gęsi, kaczki, kury. nawet i prosięta, jeżdżę do lasu i dużo zbieram orzechów. Przyjm serdeczne pozdrowienie od Żabki z nad Smotrycza.”

**Wytrwałości, Niezapominajce białej, Kalinie, Różyczce polnej i Nocy Świętojojańskiej,** zasyła pozdrowienie Przędza.

## OGŁOSZENIE.

Pożądany byłaby panienka starannie wychowana od 11-stu do 13-stu lat, do wspólnej nauki, na warunkach bardzo przystępnych. S to Krzyżka Nr. 17 mieszkania 13.